

RAPORT Z PLACU BUDOWY

Wojciech Gunia

Jest noc, pada deszcz. Strugi wody zasłoniły horyzont. Jest tylko deszcz i ciemność. Piszę te słowa w znalezionym, brudnym od zapisków wystrzępionym kajecie krótkim, tęnym ołówkiem, w ciemności skrobiąc rysikiem papier niczym mysz. Nie widzę własnych słów. To jest mój raport. Kiedy go skończę, będzie po wszystkim.

Otrzymaliśmy bardzo dokładny plan i szczegółowe instrukcje, a kiedy przyjechaliśmy na miejsce, wszystkie materiały i narzędzia już na nas czekały.

Droga na miejsce trwała długo. Pamiętam, że najpierw zbierano nas – tych, którzy odpowiedzieli na anons w gazecie – z różnych części kraju, następnie, gdy zespół był już skompletowany, wsadzono wszystkich w autobus i wyprawiono w długą podróż. Jechaliśmy tak długo, że straciliśmy rachubę czasu. Milczący, wyczerpani monotonią jazdy, pełni ciekawości i obaw. Wreszcie pojazd zatrzymał się gdzieś pośrodku drogi przecinającej bezkresną równinę. Kazano nam wysiąść i dalej, po zabraniu bagaży, iść pieszo przez morze wysokich traw. Szliśmy wiele godzin, być może dni, wsłuchani w szelest źdźbeł ugniatanych naszymi butami, aż wreszcie, w porze zachodu słońca, gdy rozpalona, czerwona kula chowając się za horyzont podświetliła ognistoczerwone nisko wiszące, ciężkie chmury, osiągnęliśmy cel podróży.

Cegły i pustaki stały w równych pryzmach, worki z cementem poukładane w symetrycznych stosach, okna zabezpieczone, rury rozmaitych grubości posegregowane. Wszystko na swoim miejscu. Koparka, betoniarka, agregat, skład narzędzi elektrotechnicznych – wszystko lśniące, zachęcająco nowe, przygotowane na nasze przybycie niczym wykwinne potrawy oczekujące gości wystawnego przyjęcia.

„Tutaj postawimy dom” – powiedział jeden z nas – starszy mężczyzna, który przedstawił się jako kierownik budowy. Rzuciwszy na ziemię nasze walizki i torby, stanęliśmy w okręgu i wypowiedzieliśmy wobec siebie nasze imiona i nazwiska, zdradzając jednocześnie, jakie funkcje przyjdzie nam pełnić.

Jak to w ogóle się zaczęło? Pamiętam długie, bezbarwne miesiące, których dni były pełne wyczerpującej nudy, a wieczory melancholii przechodzącej z wolna w rozpacz. Pamiętam duszne, bezsenne noce, podczas których przygniatał mnie ciężar lęku przed każdym kolejnym dniem, ciężar poczucia kompletnego bezsensu mojego istnienia. Istnienia niepotrzebnego, bolesnego; istnienia, któremu przeznaczono tylko jedną funkcję: rozważać własną bezsensowność, uwięzłą w krótkiej eksplozji samoświadomego strachu pomiędzy jednym a drugim niebyciem. Pamiętam, że z pewnością rozważałem tamtego dnia, czy nie skończyć ze sobą, czy jednym ruchem nie rozwiązać problemu, który stanowiłem sam dla siebie. Zastanawiałem się nad różnymi wariantami tego kroku, obmyślałem marszrutę ostatniego dnia i kiedy wszystko już było ustalone, a rytuał mojego pożegnania ze światem miał się rozpocząć, sięgnąłem po gazetę, a w niej, zupełnie przypadkiem, znalazłem ogłoszenie, że pewna firma budowlana poszukuje pracowników kontraktowych do wykonania zlecenia. Postanowiłem zadzwonić, wiedziony niewytłumaczalnym impulsem, być może resztkami instynktu samozachowawczego, pod podany w ogłoszeniu numer i dowiedzieć się czegoś więcej. Po długim oczekiwaniu na połączenie usłyszałem w słuchawce zmęczony głos jakiejś młodej kobiety, która cierpliwie i systematycznie wytłumaczyła mi, na czym ma polegać praca.

- Nasza firma otrzymała zlecenie na budowę domu dla pewnej rodziny. Niestety, ponieważ wielu starych pracowników odeszło, poszukujemy nowych osób. Jeżeli ma pan doświadczenie, to doskonale, ale jeżeli nie, to wszystkiego pana nauczymy.

Nie zadawałem pytań, nie stawiałem warunków, zgłosiłem natomiast pełną gotowość i w ten sposób, zupełnie niespodziewanie dla mnie, stałem się budowlańcem.

Zgromadzili nas – jak się szybko okazało – właśnie takich: wyczutej z radości istnienia, zmęczonych istnieniem, zniesmaczonych byciem, znużonych wiodącą ku otchłani monotonią. Desperatów bez nadziei na cokolwiek; tonących, którzy już dawno przestali nawet wypatrywać jakichkolwiek szans ratunku. Zebrali nas tamtego dnia na zimnym, skąpanym we mgle parkingu i zapakowali do autobusu, a później, kiedy byliśmy obolali jazdą i zmęczeni ciszą, kazali iść pieszo przez bezkresną równinę. A kiedy dotarliśmy na miejsce, okazało się, że każdy z nas został

wyposażony w szczegółowe instrukcje, plany i wskazówki, które zapakowano nam do toreb.

Rozpoczęliśmy pracę, zagnieżdżeni w kilku barakach, z zaplanowanymi racjami żywnościowymi, samotni, bez bliskich, do których moglibyśmy tęsknić, bez jakiegokolwiek innego życia, do którego moglibyśmy wrócić. Rozpoczęliśmy naszą pracę, rozpoczęliśmy wznoszenie domu, który miał w przyszłości zostać zamieszkały przez jakąś rodzinę.

Nikt z nas nie zadawał pytań – na przykład, dlaczego dom ma zostać wzniesiony w samym sercu równiny, w miejscu tak bardzo oddalonym od jakiegokolwiek drogi, w samym środku pustkowia. Któż miałby w nim zamieszkać i po co, jeżeli znajduje się tak daleko od jakiegokolwiek miasta, któż mógłby podziwiać, poza przyszłymi właścicielami, jego wspaniałą architekturę, jeżeli dom nie mógł się pysznić swymi proporcjami, kształtami i zdobieniami na tle pośledniejszego sąsiedztwa? Nie zadawaliśmy pytań, najęto nas, byśmy zbudowali dom i tym właśnie się zajmowaliśmy: budową. Łyżka koparki wygarniała ziemię, poszerzając i pogłębiając dół, w który mieliśmy wpuścić fundamenty, w którym mieliśmy wywiercić studnie. Powoli, krok po kroku, gruda ziemi po grudzie ziemi, a następnie cegła po cegle stawialiśmy, zgodnie z planem, tę absurdalną w gruncie rzeczy konstrukcję, sprawialiśmy, że myśl stawała się ciałem, konkretyzowała się, nabierała rzeczywistej formy.

Wieczorami, wyczerpani ciężką pracą, zasiadaliśmy w barakach i z nogami spuszczoneymi na podłogę lub wiszącymi bezwładnie z piętrowych łóżek dyskutowaliśmy o funkcjonalności rozwiązań, zaplanowanych przez architekta. Powstawały wśród nas frakcje, stronnictwa – niektórzy wyrażali pełny podziw dla konceptu, o który oparto projekt, inni głośno wyrażali swe wątpliwości. „Czy bawialnia musi być tak długa i jednocześnie tak wąska?” – narzekali. Albo: „Salon niby jest przestronny, ale układ okien sprawia, że będzie w nim mało światła, choć budynku nic nie zasłania z żadnej strony”. Z kolei ci, którzy podziwiali projekt mówili: „Bawialnia musi być długa i wąska, aby dziecko mogło biegać, ale by nie przytłaczała go przestrzeń. Musi być długa i wąska, aby uczyło się od pierwszych chwil swojej zabawy, że w istnieniu też jest tylko jedna droga, która ma swoje nieprzekraczalne granice i tylko w ich obrębie można się rozpędzić, pozwalać sobie na spontaniczność. To nie tylko pragmatyka, to również znak” – tłumaczyli. Egzegeci planu objaśniali tym, którzy wyrażali wątpliwości, ukryte niuanse projektu, pokazywali zależności pomiędzy rozłożeniem pomieszczeń, udowadniając, że nic nie pozostawiono przypadkowi, że wszystko zostało zaplanowane i gruntownie przemyślane.

Sam nie należałem do żadnego ze stronnictw, argumenty egzegetów planu i wątpiących w plan były mi

jednakowo obojętne, interesowało mnie jedynie, by dobrze wykonać pracę, do której mnie najęto. Jednakże dyskusje, prowadzone w baraku między przedstawicielami tych dwóch obozów, pozwalały mi odwrócić uwagę od mojej własnej ciemności, pozwalały mi zająć myśli czymś innym niż ja sam. Przysłuchiwałem się tym dysputom tak, jak ogląda się mecz nie będąc kibicem żadnej z drużyn. Doceniałem sprawne argumenty, chwytły retoryczne, potrafiłem uśmiechnąć się przy niezręcznym lub głupim spostrzeżeniu, u zarówno jednych jak i drugich potrafiłem wychwycić banał, jakieś zgrane hasło, doceniałem też te wypowiedzi, które sięgały głębiej, były nieoczywiste, zmuszały adwersarzy do wzmożonego wysiłku, ponownego przemyślenia stanowiska, uzupełnienia go, spojrzenia na sprawę z innej perspektywy. Przysłuchiwałem się więc tym sporom – jedynej dostępnej mi rozrywce – popijając tanią herbatę z blaszanego kubka, wprawiając się ciepłym napojem i potokami słów w senność, odżywczą, zbawczą, ciemną.

Co jakiś czas rozchodziła się pomiędzy nami plotka, że budowę mają odwiedzić przyszli gospodarze i zleceniodawcy. Że przyjadą z wizytą, aby nacieszyć się widokiem stawianego domu, nasycić obrazem urzeczywistniającego się marzenia, bo urzeczywistniające się marzenie jest obfitszym źródłem szczęścia, gdy możemy bacznie śledzić jego rozwój, a nie kiedy zostajemy postawieni wobec faktu jego dokonania (wówczas w spełnianiu się marzenia jest coś rozczarowującego); ale by także skontrolować, czy pozostawieni w jakimś sensie samym sobie należycie wykonujemy powierzone zadania, czy nie nadużywamy okazanego nam zaufania, czy pozbawieni nadzoru nie sprzeniewierzyliśmy się sprawie, w której zdecydowaliśmy się brać udział.

Plotki te wzbierały, przybierały na sile, aż z mgły sprzecznych informacji i różnych wersji z czasem wyłaniał się coraz bardziej spójny obraz, w którym najważniejszy był jeden detal: data i godzina. Na ten odświętny dzień szykowaliśmy nasze złachmanione, zużyte pracą ubrania, zdrapywaliśmy z naszych twarzy i rąk skorupy błota i cementu, których nie zmywaliśmy na co dzień, pozostawieni samym sobie pośród tej wielkiej pustki, odcięci od innych ludzi, odcięci od konieczności, jakie wynikają z funkcjonowania pomiędzy innymi ludźmi. Wyczesywaliśmy glinę z włosów, na powrót zaczynaliśmy przypominać człekokształtne istoty, gdyż w szale pracy, przerywanej snem w barakach i rozmowami, upodabnialiśmy się do poruszających się gór materiału, najprawdziwszych golemów, powołanych do istnienia koniecznością, która była w istocie jedynie czymś pragnieniem, gdyż na końcu każdego pragnienia znajduje się konieczność albo raczej to każda konieczność jest wynikiem – choćby odległym – jakiegoś pragnienia. „Golemy obcego pragnienia” – tak właśnie zacząłem nazywać naszą zbiorowość, gdy

WAMPIR KLASYCZNY

ANNA DYMNA

Na początku XIX wieku gotycyzm jako gatunek literacki miał zaledwie czterdzieści lat, lecz był już skostniałą konwencją, niekiedy nieświadomie posuwającą się do granic autoparodii. W tej sytuacji powieść gotycka w osiemnastowiecznej formie, razem z całym jej aparatem nadprzyrodzonym, przestała funkcjonować w oficjalnym obiegu literackim, choć „kwitła pod ziemią przez cały wiek XIX”. Nie znaczy to, że literatura, której główną funkcją estetyczną jest straszyć, znika zupełnie, a że jedynie zmienia formę. Zmiana czytelniczych gustów wynikała ściśle z sytuacji historycznej. Wiek XIX, wiek pary i elektryczności, z ogromnym rozwojem nauki i techniki, wychował sobie zupełnie innych czytelników. W wieku XIX powieść stała się narzędziem badawczym rzeczywistości, miała wyjaśniać mechanizmy rządzące nią w sposób niemal podręcznikowy. Dominowała obiektywność narracji, która nie pozostawiała jednak wątpliwości co do intencji autora. Wiązało się to, między innymi, z wyraźną dydaktyczną funkcją literatury. W tej sytuacji zmierzch tradycyjnej powieści gotyckiej nie jest zaskoczeniem.

„W początkach XIX wieku był to gatunek o bogatej tradycji w literaturze europejskiej, wysoce skonwencjonalizowany, o stałym zasobie powtarzalnych motywów obrazowych, który wytworzył ograniczony repertuar funkcji przypisanych przestrzeni zamkowej, przed wszystkim służącej ewokacji nastroju grozy i przerażenia”. Jednocześnie powieść gotycka ciągle była wydawana w drugim obiegu i czytana wbrew niechęci krytyki. W oficjalnym obiegu literackim pojawiają się nie tyle powieści gotyckie, co utwory czerpiące z jej konwencji nastrojów i atmosferę, jednak w formie realistycznej. Gotycki łotr w XIX wieku odkrywa, że zło jest w nim. Powieść dziewiętnastowieczna nie potrzebuje duchów, zbrodniczych mnichów, dzwonięcia łańcuchów i jęków o północy. Aby przerażać, wystarczy ciemna strona ludzkiej natury.

Nie sposób wymienić wszystkich wynalazków i odkryć XIX wieku. W tym okresie nastąpił nie tylko szybki rozwój nauki i techniki, ale równie szybkie wykorzystanie ich w przemyśle czy życiu codziennym. Nauka zaczęła się specjalizować, co sprzyjało jej szybszemu rozwojowi. Z domeny bogatych amatorów stała się dziedziną fachowców. Wszystkie te zjawiska dokonywały się niejako na oczach ludzi ówczesnie żyjących. „Epoka rewolucji przemysłowej odróżniała się od czasów wcześniejszych właśnie udziałem rozwijającej się techniki. Trudno było tego nie zauważyć, gdyż obecność maszyn zmieniała całe krajobrazy. Rosnąca rola techniki i dokonująca się właśnie transformacja, której rozmiary uznano już

wówczas za rewolucyjne, wywołały reakcję społeczeństwa. Znalazła ona wyraz w zachodzących istotnych przemianach kulturowych”. Optymizm poznawczy to charakterystyczna postawa dla pierwszej połowy XIX wieku.



Najbardziej wpływową teorią tego czasu jest teoria ewolucji Darwina i jego *O powstawaniu gatunków drogą doboru naturalnego*. W swoim dziele naukowiec postulował między innymi, że rozwój odbywa się na zasadzie doboru naturalnego, a szanse na przetrwanie mają tylko najlepiej dostosowane jednostki. Ta teoria – w zniekształconej formie – szybko przeniknęła na grunt myśli społecznej, dając początek darwinizmowi społecznemu (tzw. socjodarwinizm). Według niej rozwój społeczny, podobnie jak rozwój gatunków, opiera się na walce ras, narodów, itd. Zakładała, że społeczeństwa ewoluują od form prymitywnych do coraz bardziej złożonych i zaawansowanych. Jeśli więc pozna się i zbada zasady rządzące tymi prawami, będzie można przyspieszać rozwój całych narodów. Kult scjentyzmu i racjonalizmu, zachłyśnięcie się nauką i jej ewentualnymi możliwościami zaowocowało przekonaniem, że rozwój nauki i medycyny doprowadzi do eliminacji cierpienia, biedy i moralnego zła. Na gruncie wypaczonej teorii ewolucji rozwinęły się m.in. teorie eugeniczne, zakrojone na ogromną skalę eksperymenty wiwisekcyjne czy osobliwe teorie dziedziczenia. Teoria Darwina miała też duży wpływ na teorie wychowawcze. Pojawiło się przekonanie, że naturę – po odpowiednich zabiegach – da się całkowicie kontrolować i podporządkować.

Ów postęp techniki i zanik metafizyki musiał w końcu zaowocować odwrotem od racjonalistycznej wizji świata. W połowie wieku zaczyna rodzić się strach przed wzrastającą potęgą nauki. Charakterystyczne dla tego okresu jest zainteresowanie okultyzmem czy masowe organizowanie seansów spirytystycznych. Bardzo popularna była